

Lubimy góry. Nie stajemy w opozycji do wakacji nad morzem: wpatrywanie się w daleki horyzont, słuchanie jednostajnego szumu fal i przyjemny chrzęst piasku pod stopami niesie pokłady kojącej melancholii. Natomiast wędrówka w górach jest przeżyciem odmiennego rodzaju. Droga pokonana w pocie czoła, aby stanąć na grani i przypomnieć sobie, jak mali jesteśmy w stosunku do świata... Z takiego wypoczynku wraca się zmęczonym, ale szczęśliwym. Zapewne dlatego mój mąż i ja ulegliśmy namowom Kolegi z pracy do wzięcia udziału w Połowie Przejścia Kotliną Jeleniogóorską. Pozostałe motywacje sprawiedliwie osądziła droga.

Poranek na szczycie Łysej Góry był słoneczny i ciepły. Modlitwy o taką pogodę mogłaby wznosić załoga statku Argo po bezsennej, sztormowej nocy. W oczekiwaniu na start, wzrok omiatał uczestników o atletycznych posturach i miałam wrażenie, że jesteśmy jedynymi, którzy nie są sportowcami. „To nie zawody. To próba” - myśl pocieszenia była mi bliską. Dwutysięczny Dwudziesty jest rokiem wyjątkowym: organizatorzy imprez i wydarzeń kulturalnych wołają o pomstę do nieba, musząc sprostać wymogom sanitarnym, napisanym przez osoby patrzące z perspektywy biurka. Z tego powodu podzielono nas na grupy, startujące w odstępie półgodzinnym. Nasza dwójka została zarejestrowana do ostatniej grupy, startującej o 12:00.

Jeszcze moment oczekiwania, zbiórka, kilka słów od Macieja i wspólne „trzy, dwa, jeden, start!”. Ruszyliśmy łagodnym zboczem – polną drogą przecinającą łąkę, na której stały baloty ostatnich sianokosów tego lata. Nie minął pierwszy kwadrans a spostrzeżliśmy, że jesteśmy ostatni: Natchnienia greckich rzeźbiarzy wyminęły nas (znanych jako „dwie kulki”) rześkim krokiem pełnym animuszu. „W porządku, to nic wielkiego. Ten, kto zaczyna ostatni, nie kończy pierwszy lecz i to nie oznacza, że nie kończy wcale”. Przeszliśmy pierwszy punkt kontrolny (na którym dwie wolontariuszki tańczyły do piosenki zespołu Tabu), aby stanąć przez pierwszą deklaracją, która zdefiniowała naszą próbę: punkt na trasie, pozwalający na skrócenie drogi. Zatrzymaliśmy się w zastanowieniu, po czym ruszyliśmy wyznaczoną trasą: nie ma dróg na skróty. Polne ścieżki porosły trawą i myślałam, jak trudna byłaby to droga, gdyby padał deszcz.

Następny punkt, znajdujący się na szczycie Góry Szybowcowej był pierwszą oazą: nasze kubki i bukłaki napełniono wodą. Nieopodal, lokalny aeroklub celebrował pogodę wymarzoną dla piechura: wiatr niosący wytchnienie i niebo niezmaczone liniami samolotów, na którym dwupłatowiec „Antonov” wznosił spadochroniarzy wysoko. W chwili, kiedy spadochron rozwijał się na podobieństwo kwiatu miałam wrażenie, że łączy nas ta sama intencja. Kolejne kilometry przeszliśmy spokojnie, droga była dobrze ubita i stosunkowo równa. Wstępnie zmęczeni dotarliśmy do Jezowa Sudeckiego. Chwila odpoczynku, marsz po asfalcie. W ogródkach kwitły kosmosy. Teren musiał należeć do zalewowych: wielu gospodarzy składowało na podwórkach worki z

piaskiem. Fakt zapamiętania detali wskazuje na stosunkowo niski stopień zmęczenia, oraz na standardową wydajność umysłu, łaknącego bodźców.

Szliśmy dalej nie rozmawiając wiele: nauczona doświadczeniem wiedziałam, że ilekroć rozpraszam się zbędnym dialogiem, kiedy myśli przybierają kształt niebieskich migdałów potykam się, krok przestaje być miarowy, tracę równowagę. Zatem idziemy, my – dwójka turystów, wśród istic górskiego krajobrazu: drogą ubitą białym tłucznem ze szpalerem wysokich sosen po bokach.

Dotarliśmy do Perły Zachodu, schroniska położonego nad Jeziorem Modrym. Chcąc nadrobić stracony czas, nie zatrzymywaliśmy się dłużej niż kilka minut, mijając uczestników stojących w kolejkach do restauracji, sklepu czy odpoczynku przy szklance piwa. Przeszliśmy Ścieżką Poetów, decydując się na dłuższy postój przy stacji benzynowej. Po uczcie złożonej z kabanosów, batonów czekoladowych i kawy ubraliśmy dodatkową warstwę odzieży. Uzbrojeni w latarki czołowe ruszyliśmy w nieznane zapadającego zmierzchu.

Wieczór nie nastał powoli, lecz nagle. Nim rozgościł się na dobre, rozbłysło światło wielu czołówek. Pierwszy raz w życiu szłam po zmroku górskim szlakiem, a drogę wytyczały jasne punkty świateł. Punkt kontrolny w Goduszynie był pierwszym, odkąd zapadł zmrok. Serwowano herbatę z sokiem, a w palenisku płonął ogień. Podaliśmy nasze numery i nie zatrzymując się, poszliśmy dalej. Za Wojcieszycami dotarliśmy do płaskiej drogi rowerowej, świeżo wyłożonej asfaltem. Fragment ten wspominam jako najpiękniejszy z całej wyprawy: Noc była ciemna i bezksiężycowa. Niebo mieszało purpurę i pomarańczową łunę miast na horyzoncie, na którym odznaczał się ogromny, czarny pigment szczytów, w stronę których zmierzaliśmy powoli. Szczęśliwym trafem wysunęliśmy się na prowadzenie i spojrzawszy za siebie zobaczyłam nie ludzi, lecz rozciągnięte świetliste punkty, niczym neonowy wąż na czarnej krepie nocy. Weszliśmy w stromy las, w stronę pierwszego kryzysu, jak się miało okazać, jednego z wielu.

To był jedyny odcinek, na którym przypadkiem zboczyliśmy z trasy. Mój mąż był dobrze przygotowany na wyprawę: wgrał trasę na GPS, lecz kiedy zobaczyliśmy przed nami grupę ludzi poszliśmy za nimi. Po chwili stanęliśmy wszyscy rozumiejąc, że zabłądziliśmy, przyjmując ślady ciężkiego wozu robót leśnych za ścieżkę. Wtedy poczułam ukłucie, okrzyki zaskoczenia rozległy się także wśród naszych sytuacyjnych towarzyszy. Ludzka obecność zakłóciła spokój gniazda os, które poczęły kąsać nas wściekle i zmusiły do odwrotu nie ważne gdzie, byle dalej od feralnego miejsca. Na szczęście nawigacja wyprowadziła nas na trasę zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, lecz od tamtej pory często spotykaliśmy ludzi, którzy mówili „Nie wiemy, którędy. Nie wiemy, gdzie iść. Pomóżcie nam”.

Zmęczeni dotarliśmy do punktu kontrolnego numer jedenaste. Próbowaliśmy spać, z kiepskim rezultatem, ponieważ zmęczenie zaczęło mieszać w naszych głowach. Chcąc czy nie, wybraliśmy się w dalszą drogę, przez Górzyniec, a było to kilkanaście minut przed północą.

Zapamiętałam, ponieważ spojrzałam na zegarek dokładnie w momencie, w którym minęliśmy właściwą drogę. Nie przeszliśmy kilku metrów, gdy zupełnie przypadkiem z pobliskiego domu wyszła kobieta. „Oj, chyba źle idziecie. Musicie skręcić w lewo”. „Tak późno, Pani jeszcze nie śpi? Musi być Pani aniołem, jak się Pani nazywa?” „Gabriela” odparła kobieta.

Na tym odcinku myśleliśmy, że idziemy do punktu, gdzie samochód zabierze nas z trasy, ponieważ nie byliśmy już w stanie przejść, jak się wydawało, kolejnego kilometra. Nieświadomi błędu minęliśmy Zakręt Śmierci, idąc w stronę przerażająco męczącego wzniesienia. Zapasy wytrzymałości wyczerpały się, pozostawiając silny ból łydek i jeszcze gorszy kolan. Wyczerpani szliśmy razem, pogrążeni każde we własnych myślach. Ilekroć przywoływałam w wyobraźni, jak wspaniale będzie na mecie i co zrobię po skończonej próbie, karciałam siebie słowami „nie ma mnie tam. Jestem teraz, tu właśnie jestem potrzebna. Ja i droga, to jedno. Jestem drogą”. Szłam, uważając na kamienie i patyki, w starciu z własnymi słabościami.

Powiedzieć, że podejście było ciężkie, jest jak określenie palenia na stosie jako stosunkowo brzydką karę. Każdy krok równał się nieznanemu dotąd wysiłkowi a brak snu i zmęczenie powodowały zamęt zdrowego rozsądku. Niczym nieszczęśnicy szalejący z pragnienia na pustyni jawiło się nam, że zablądziliśmy, minęliśmy punkt kontrolny, musimy zawrócić i byliśmy tego pewni, pomimo niezakłóconego odczytu mapy GPS. W chwili wahania dogonił nas Senior (sądząc po numerze szedł całe przejście) zapewniając, że kierunek mamy właściwy. W końcu pokonaliśmy wzniesienie wychodząc na równy, płaski trakt.

Nie szliśmy już, lecz w amoku przesuwaliśmy nogami, nie zwracając uwagi na oddech, koordynację czy kroki. Przestałam nawadniać się, choć w bukłaku miałam zapas wody. Podeszwy butów szurały nieprzyjemnie o grunt i miałam przywidzenia martwych myszy oraz starych szmat, leżących wszędzie, w istocie będących mniejszymi i większymi kamieniami. Po dotarciu do punktu kontrolnego owinęliśmy się w folię NRC i zapadliśmy w głęboki sen.

Po niecałych dwóch godzinach poczułam silny chłód. Zbudziłam towarzysza niedoli: trzeba iść, zakończyć to wreszcie lub zostać tu na zawsze. Kontynuowaliśmy wcale niewypoczęci i w nie lepszych nastrojach. Aby poradzić obciążeniu ciała i psychiki wprowadziliśmy się w stan permanentnych przekleństw i obelg. Dostało się wszystkim: organizatorom, że wytyczyli trasę. Bliskim, że nie powstrzymali nas przed tak absurdalnym pomysłem, ale najbardziej zbezczęściliśmy dobre imię Kolegi, który namówił nas na tę przygodę. Posyłał pod jego adresem słowa tak obraźliwe, epitety tak soczyste, że jestem pewna, gdyby je usłyszał nie byłibyśmy dłużej w pozytywnych relacjach. Agresja wyzwalała w nas pewną dozę adrenaliny, która pozwalała pokonać dystans. Niemniej, gdyby podliczano punkty za styl, otrzymalibyśmy zero.

Nastał brzask, widzieliśmy coraz lepiej krajobraz wokół. Odcinek dzielący nas od ostatniego punktu kontrolnego przeszliśmy beznamietnie, zatrzymując się sporadycznie. Dołączyliśmy do

grupy niedobitków. Bez sił, aby cieszyć się fragmentem asfaltu skręciliśmy w stronę ogniska, które paliło się nieopodal prawej strony drogi. Starszy Pan, sympatyczny i rzeński powitał nas, pogratulował i spytał czy nie potrzebujemy jedzenia lub picia. Nie pamiętam koloru jego oczu, choć spojrzenie miał serdeczne, łagodne. O pobliską barierkę stał oparty jego rower, który przez kolarzy mógłby zostać określony zabytkowym, niemniej był w idealnym stanie tak, jakby wczoraj wyjechał z salonu. Zostaliśmy poinformowani o ostatnim odcinku trasy: kładkach i torze saneczkowym. Pierwszą przeszkodę pokonaliśmy w miarę sprawnie, choć za nieostrożność można było przypłacić wysoką cenę. Słońce wschodziło coraz wyżej, chłód nocy odszedł w zapomnienie. Kiedy weszliśmy na tor saneczkowy, schodząc w dół moja bezsilność sięgnęła zenitu a z oczu poleciały łzy. Byłam pewna śladu, jaki przygoda pozostawi w mojej psychice i przywołałam słowa żony Kolegi: „na pewno pogubicie się jak nic”. W istocie, czułam kompletne rozbicie nie mając pewności, czy jestem tą samą osobą, która dwadzieścia dwie godziny temu rozpoczęła próbę. Ostatnie dwa kilometry przed metą - uczęszczane przez turystów - jawiły się w sposób oniryczny. Mijając osoby wypoczęte, ubrane starannie i stylowo nie byłam pewna, czy wciąż jeszcze należymy do tego samego świata, czy może niepojęta siła oddzieli nas: zziębniętych, zmęczonych, brudnych, lepkich od potu, poobcieranych i wycieńczonych w imię wytrwałości.

Im bliżej mety, tym więcej osób gratulowało nam, dodawało otuchy. Ostatecznie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, dwadzieścia trzy godziny od startu. W fatalnym stanie, zbyt sponiewierani, aby się cieszyć. Podaliśmy nasze numery startowe, które podstemplowano. Pograżeni w smutku przytuliliśmy się do siebie i potoczyliśmy w stronę noclegu. Jeszcze tego samego popołudnia, kiedy nie mogliśmy ustać w wyprostowanej pozycji, a nogi były jak z betonu, śmialiśmy się z naszej nieporadności, szczęśliwi z udziału w przygodzie, wdzięczni za każdy krok.

